

# ODRA

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin dnia 13 października 1946 r.

Nr 35 (46)

Wilhelm Szewczyk

# Gdzie je Kaszub końce



## Perspektywa Odry

I.

Z pośród ludności autochtonicznej Ziemi Odzyskanych jednostki tylko posiadają pełną świadomość narodową. U większości zamiast świadomości narodowej pojawia się uczucie rodzimości. Mieści się w nim świadomość rdzenności polskiego pochodzenia i narodowej odrębności tradycji. Są to pierwiastki rodzime i na nich, w oparciu o język, budować można dopiero świadomość narodową. Te rodzime pierwiastki trzeba nazywać, gromadzić, wyodrębnić z pośród naporu obcości, niemieckich. Trzeba je rozwijać,

Współczesny regionalizm na Ziemiach Zachodnich i Odzyskanych oprócz tych zadań ma jeszcze zadania polityczne. Miał je zresztą zawsze kiedy jeszcze nie nazywano go z naszej strony regionalizmem, a kiedy był po prostu walką o język, obyczaj, religię, tradycję. Wspólnota wszystkich autochtonów Ziemi Odzyskanych w takiej walce to właśnie ich droga ku Polsce.

Wszędzie walka ta miała to samo oblicze, nigdzie nie toczono jej pod hasłem tych lub innych programów partyjnych. Była to walka bezwzględna o wartości uznane przez wszystkich za polskie i za konieczne tym samym do utrzymania polskości na tych terenach. Obojętnym było, czy prowadziło się ją pod przewodnictwem księży, socjalistów czy narodowych demokratów z „Górnoślązaka” lub „Dziennika Berlińskiego” (tego do r. 1902). Dążono ku Polsce wszelkimi drogami również bez względu na to, jaka by ta Polska była. Najlepiej wyznaje to maksyma Polaków w Niemczech: Polska matką naszą. Nie wolno mówić o matce źle. I nawet, gdy w plebiscycie śląskim obiecywaliśmy Polskę wyłącznie katolicką, a w plebiscycie mazurskim Polskę bezwzględnie tolerancyjną dla innych wyznań (Mazury są w większości ewangelikami), to zgoda co do naczelnego celu była mocna i niewzruszona.

Walka zatem przybierała tylko inne regionalne formy, ale w rzeczy samej była jednakowa i wspólna. (Widoczne to było nawet jeszcze w czasie minionej wojny, choć różnorodność taktyki niemieckiej wobec Polaków na Śląsku, w Poznańskim, Pomorzu i w b. Rzeszy spowodowała różnorodność form naszej obrony i walki). Wspólność tę widzimy w czynach wszystkich wielkich uświadomionych Polaków tych Ziemi, owych śląskich Miarków i Lompów, kaszubskich Ceynowów i Derdowskich, mazurskich Kętrzyńskich i Gizewiuszów, warmijskich Samulowskich wreszcie. Oni wszyscy i wielu znanych i nieznanych działaczy walczyli o te same wartości naczelne. Walka o ziemię ma tych samych bohaterów. Na długo przed słynnym Drzymałą pojawia się u Kaszubów Aleksander Pepliński, posiadacz dwustumorgowego gruntu, a mieszkający w wozie, a znany jest także śląski troglodyta Chrószcz z Pszowa, który walkę kończy samobójstwem.

Wielu ginęło w tej walce. Ale trud zaraz podchwytywali inni. Echo walki silniejsze było od śmierci.

Wielu poginęło. I dziś, gdy wszędzie jest już Polska, słuszne jest żądanie, by ci, co walkę przetrwali i mocniejszą stopą na wolnej stałej ziemi, policzyli się.

II.

Policzmy się, bracia Opolanie Kaszubi, Warmiacy i Mazurzy. Policzmy się, zwycięzcy. Ilu nas jest? Trzeba, by wiedzieli o tym całą Polska, dla której pragniemy być nie samym tylko rekwizytem historii, poznawanym w szkołach i chwalanym w okolicznościowych artykułach, lecz dla której chcemy być współczynnikiem obywatelskiej i narodowej pracy. Trzeba, by wiedzieli o nas zagranicą. My pierwsi swoim istnieniem zaprzeczyliśmy Generalowi Pustce, którego stworzyli Niemcy i który nas miał tutaj pokonać. Dziś z Generalą Pustką śmieją się Polacy, którzy tu przyjeżdżają, a uśmiechają się także ci z zagranicznych panikarzy, którzy w kukłę te uwierzyli. My pierwsi zapełniliśmy te ziemie nową wolną treścią

i dzięki temu, że tu istniejemy, wszyscy osiadający tu Polacy łatwo odzyskują związek z tą ziemią. Rozumieją nasz język, nasze przydrożne krzyże, nasze nazwiska, nasze kancjonały, przysłowia, uśmieszki, wszystko. Wiedzą, że są wśród swoich i my wiemy nareszcie, że opieramy się ramieniem o swoich. Taki jest sens naszego istnienia i — przetrwania.

Przez nas Polska łatwiej odzyskuje swój własny sens na tych ziemiach.

Policzmy się, ilu zostało z tych walk wielowiekowych i najcięższych ostatnich.

Po spotkaniach autochtonów Mazurów w Olsztynie odbył się Zjazd Opolan



Hieronim Derdowski, kaszubski Boczyska, młodszy od Ceynowy, pisze po kaszubsku nie stawiając politycznego programu. Słynna i znana jest jego epopeja „O panu Czorińskim co do Pucka po secie jachol”. Ceynowie wystawił wspaniały pomnik w wierszu, którego końcówka brzmi:

Ciej syn sławie na tym grobie klęknie, Ize weleje  
Twoja wiara i nadzieja w sercu mu zanieje  
I do dusze się odezwie brzęk harle cołści:  
Nima Kaszub bez Polonii i bez Kaszub Polści!

w Opolu. Na Zjeździe w Opolu do najcenniejszych należały wypowiedzi wysokich urzędników Rzeczypospolitej, którzy stwierdzili, że pożądany jest jak największy udział autochtonów w pracy, w administracji, na odpowiedzialnych stanowiskach. W przemówieniach autochtonów także usłyszeliśmy nową strunę. Zadeklarowali oni chęć najszerzej współpracy

„W Muzeach na Ziemiach Odzyskanych specjalną uwagę zwrócić należy na odpowiednią i jak najplodniejszą rozbudowę działów prehistorycznych i wczesnodziejowych oraz etnograficznych, jak najściślej związanych z polską przeszłością tych ziem i najlepiej ją dokumentujących... ośrodkami działów sztuki winny tu być zespoły dzieł sztuki polskiej, nie należy (na tych terenach) rekonstruować dawnych muzeów niemieckich, lecz tworzyć nowe muzea, których koncepcja odpowiadałaby polskiemu interesowi naukowemu, oświatowemu i narodowemu”.

Przytoczyliśmy fragmenty uchwał XVII Zjazdu Delegatów Muzeów w Polsce. Przyjmujemy z satysfakcją fakt, że muzealnictwo polskie świadome jest zadań i celów, jakie narzuca mu struktura historyczna i społeczno-polityczna Ziemi Odzyskanych. Dalsze uchwały zajmują się m. in. szczegółowymi projektami, gdzie i jakie muzea powinny powstać. I tak w Gdańsku i we Wrocławiu winny powstać państwowe muzea wielodziałowe, w Legnicy Muzeum Piastowskie, w Zgorzlecu Muzeum Łużyckie z Instytutem Badania Łużyc.

Z pewnym oporem i zastrzeżeniami można by jedynie podejść do uchwały mówiącej o kasowaniu niektórych muzeów regionalnych i lokalnych na Ziemiach Odzyskanych. Zrozumiałe są trudności techniczne, towarzyszące utrzymywaniu takich muzeów, ale wielka może być ich rola repolonizacyjna, tak jak wielką była rola germanizacyjna tych małych muzeów za czasów niemieckich. Zdaje się zatem, że najpierw raczej w tym kierunku powinny pójść projekty. Nie znamy zresztą wygłoszonych na Zjeździe referatów a szczególnie referatu o muzeach na Ziemiach Odzyskanych i dlatego trudno szerzej z uchwałą tą polemizować.

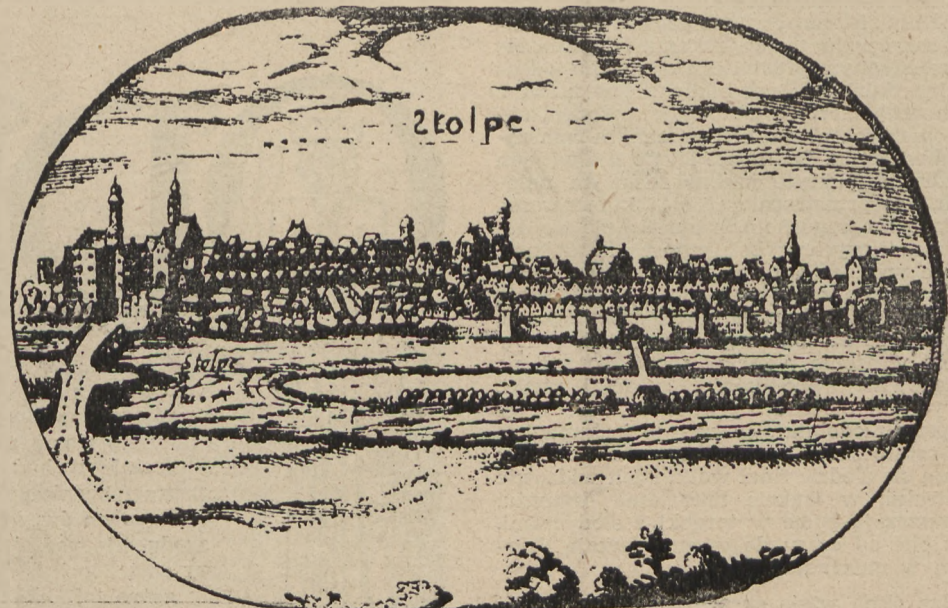
Odpowiednie czynniki muszą dopilnować, by uchwały Zjazdu wykonane były bez przeszkód i to w czasie jak najkrótszym. Nad granicą polsko-niemiecką z tamtej strony Odry powstaje już teraz sieć muzeów niemieckich, które otwarcie przejmują zadania muzeów niemieckich na utraconych terenach na wschód od Odry i Nysy. Muzea na Ziemiach Odzyskanych to propaganda polskości i dowody naszej tu bytności. To należy też mieć na uwadze w dyskusji nad programem kulturalnym dla Ziemi Odzyskanych.



Dr Florian Ceynowa, pierwszy uświadomiony Kaszub, uświadamiał braci swych, „młodszych braci Polaków”, jak nazywał Kaszubów. Studiował we Wrocławiu i w Królewcu, we Wrocławiu był członkiem Towarzystwa Literacko-słowiańskiego. Należał do spisku Mierosławskiego, skazany za to przez sądy prukie na topór kata, Zamięć rewolucyjną, panującą wówczas w Berlinie uratowała mu życie. Brał udział w zjeździe słowiańskim w Moskwie w r. 1867. Praca jego nad budzeniem polskiej świadomości narodowej Kaszubów otwarła nową epokę ich dziejów.

a w miejsce odrzuconych elementów niemieckich wprowadzać inne, polskie. Dalej zaś drogą analogii przekonać autochtonów, że rodzimość to właśnie polskość — przekonać wszystkich innych Polaków, że gdy Ślązak Kaszub, Warmiak lub Mazur powie: ja jestem stąd, to tak jakby powiedział: ja jestem z polskiej ziemi, z polską tradycją, Polakiem. Nie wszystko jest oczywiste dopiero wtedy, gdy jest świadome. W tym wypadku nawet cenniejsze są dla nas te naiwne i półświadome wyznania narodowe. Z tych ludzi przy umiejętnej polityce można zrobić pewnych, dobrych Polaków; z wielu niewątpliwych ale obywatelsko lub moralnie złych Polaków — już nie.

Wielkie są zatem zadania regionalizmu w Nowej Polsce. Regionalizm, kierujący się ku tym celom, nie przerodzi się ani w szowinizm dzielnicowy ani w separatyzm. Nie będzie on bowiem szukał rodzimości dla stwierdzenia: a jednak jesteśmy inni i lepsi, ale dla tym ściślejszego połączenia się z całością. Jednoś akcesorii (tradycja, język, obyczaj, walka) już istnieje. Regionalizm musi tą jedność uprzystępnąć świadomości wszystkich Polaków, a szczególnie autochtonów Ziemi Odzyskanych. Tym samym realizował on będzie swój cel: przez rozwój pierwiastków kultury regionalnej bogacie kulturę narodową.



Śląsk, miasto Pomorza Zachodniego. Według miedziorytu z wielkiej mapy wykonanej w latach 1610 — 1618 przez prof. uniw. w Rostocku, Eilharda Lubina na zamówienie ks. szczecińskiego Filipa II (repr. za „Polską Piastów i Jagiellonów”).

we wszystkich dziedzinach pracy, nie wyłączając pracy politycznej. Po Zjeździe Opolskim pod koniec września zebrał się w Szczecinie Kaszubi, autochtoni Polacy, działacze narodowi.

Tam w Szczecinie, gdzie dziś je Kaszub końc, skąd patrzy wypływają oczyma kilkunastu Bogusławów i Barnimów, tam gdzie żyje i rozwija się Związek Starych Szczeciniaków, tych co tu w najcięższych latach pracowali dla Polski. Pięknie od losu, że ich zachował przy życiu, świadków ostatniej fazy walki, którą my dopiero wygraliśmy. Tam, gdzie ustawicznie błędzą oczy niemieckie i gdzie zagraniczna praśa, Polsce nieprzychylna, zakreśla na mapie pytańniki i kółka. Tam, gdzie je Kaszub końc — dzisiejszych naturalnie, bo dawniejsze przelewały się poza Odrę — gdzie do dziś Kaszubi wytrwali, a wytrwali poto, by przyjąć tu Polskę, z nią nareszcie zjednoczyć swe dzieje i tęsknoty.

W okresie obłędnej agitacji antypolskiej, poczynającej się w Niemczech we wszystkich strefach okupacyjnych i wśród wszystkich partii, w okresie ustawicznego wymawiania nam Ziemi Odzyskanych — odbył się Zjazd Kaszubów w Szczecinie. Ci, co nam Ziemi Odzyskane wymawiają, nie odwiedzili ich jeszcze. A szkoda, bo

mogli by łatwo i bez skrupułów zmienić zdanie. To, co ujrzeli by na Ziemiach Odzyskanych, zmusiło by ich do rewizji ich poglądów na polską pracę i na polskie prawo. Szkoda także, że nie porozmawiali z Kaszubami, istotnymi właścicielami tej ziemi, jej dziedzicami od stuleci. W okresie, kiedy w Niemczech jednoczą się zniemczeni Kaszubi, kiedy nauka niemiecka przygotowuje nowy start, start antypolski, bo zapowiadane są już książki o Pomorzu Zachodnim i Kaszubach — odbył się Zjazd w Szczecinie. To są wszystkie momenty, dla których Zjazd autochtonów Kaszubów nazwać trzeba zjazdem o dziejowym znaczeniu. To są także momenty, które podkreślają aktualnie polityczną ważność Zjazdu.

Już przez sam fakt zwołania go i odbycia zdobyliśmy argument w polityce międzynarodowej. Kaszubskie: Policzmy się — ma w tym wypadku znaczenie innego stwierdzenia wobec świata: tyłu nas jest jeszcze z prawych i jedynych dziedziców tej ziemi, tyłu po ciężkich zmaganiach. Wobec Niemców i wobec ich tez argument ten może się bezwzględnie liczyć. Przyszedł nareszcie czas, by na terenie międzynarodowym rozprawić się skutecznie z kłamstwami niemieckimi o naszych

Ziemiach Zachodnich. Razem z polityką III Rzeszy upadła i skompromitowała się nauka niemiecka, która politykę hitlerowskiego imperializmu i nienawiści rasowej gorliwie popierała. Dopóki nauka niemiecka nie odbuduje się całkowicie, dopóki nie pocznie znów imponować światu pracowitością i szerokością horyzontów, dopóki nie zacznie na nowo zamącać prawdy i obrazu historycznego tych naszych ziem — musimy zbudować zapórę z polskich prawd o tych ziemiach, konieczne są publikacje w obcych językach i aż dziw, żeśmy dotąd tego nie uczynili. Argumenty niemieckie dziś pokonać najłatwiej. Stąd — wracając do Zjazdu Szczecińskiego — również i pamiętnik tego Zjazdu winien ukazać się w językach obcych lub z obszernymi wyciągami w tychże. Właśnie jako argument. Policzmy się, czyli policzmy się, ile nas jeszcze jest, a równocześnie zróbmy obrachunek z naszymi wrogami. Policzmy się tu, gdzie je Kaszub końc, a to znaczy tym samym, gdzie jest koniec Polski.

Cóż postanowili Kaszubi na tym Zjeździe? W rezolucji postanowienia podobne są do postanowień Zjazdu Działaczy Opolskich. „O większy udział przedstawicieli ludności autochtonicznej w krajowej i te-

renowych Radach Narodowych oraz administracji państwowej i samorządowej. O rozszerzenie pomocy finansowej dla odbudowy Ziemi Nadodrzańskich i Nadbałtyckich. O utrzymanie i utrwalenie braterskiego sojuszu z Narodami Związku Radzieckiego, gwarantami naszych granic zachodnich“. Takie są główne trzy punkty rezolucji. A poza tym podkreślono: 1) słuszność akcji weryfikacyjnej i polityki państwowej na Ziemiach Odzyskanych, oraz ogłoszono wezwanie do wszystkich Polaków Autochtonów, przebywających pod władzami okupacyjnymi w Niemczech, do powrotu do kraju.

Waga tych postanowień i oświadczeń nie tyle cenna jest z perspektywy polityki krajowej, ile z perspektywy polityki międzynarodowej. Kaszubi przemówili tutaj jako współobywatele Rzeczypospolitej, mający te same troski i przeżywający te same radości. Dawniej dzieliła ich od narodu niemieckiego walka i wierność polskiemu językowi, wierze i obyczajowi. Dziś dzieli ich więcej — zwycięstwo. I znowu wcześniej już wyrażona myśl: w nich Polska tu odnajduje swój sens, nieuchwytny na przestrzeni wielu lat historii dopóki Niemcy tu żniwowali, budowali i burzyli.

Stefan Sulima

## Wymowne pogranicze

Na dawne pogranicze wjeżdżamy o brzusku. Gęsty, mleczny pokrowiec otula pruską ziemię, z szczególną troskliwością przywierając do wgnębień terenu, łożysk rzeczek i parowów. Miejscami nie widać nawet na kilkadziesiąt kroków. Pociąg leci korytarzem, jaki stalowa pierś lokomotywy wybija w ścianie mgły.

Chmurny ranek zdaje się zazdrośnie strzec tajemnic mazurskiego pleneru. Chłód wciska się przez szpary do wnętrza wagonu. Współtowarzysze podróży, wstrząsają się pod jego wpływem, naciągają nieskładnie poly płaszczy i ani myśląc przerywać niespokojną i niewygodną drzemkę. Stoję



Zamek w Lichbarku na Warmii. Fragment kolumnady w dziedzińcu.

przy oknie i z upragnieniem czekam aż zrednie mgła. Na razie, z braku innych widoków, patrzę jak w górze słońce zmagają się z chmurami w upartej walce, jak przepycha się przez atakujące obłoki. Jaśnieje i ciemnieje w miarę jak dwie, zmagające się na niebie siły, biorą nad sobą górę. Wreszcie światło dnia zdobywa przewagę. Matowy opar traci zawieszistość, w końcu rozplywa się bez śladu. Pruskie pogranicze może się zaprezentować w całym ubóstwie swego krajobrazu.

Wzrok ślizga się pobieżnie zawiedziony i zadziwiony zarazem. Cały pierwszy plan zapełnia zielona równina, pofałdowana leniwo zarysowanymi wzgórkami. Rozpiera się w zachłannym prostackim rozmachu, odsuwając daleko w tył błady błękit nieba z słoneczną tarczą, otoczoną korowodem zaróżowionych chmur i porannym rumieńcem wschodu. Podmokłe łąki o nieświeżym kolorze, pokryte jakimś rdzawym nalotem, rozprzestrzeniają się kilometrami. Pełzną ku wzgórkom, lub zaciskają się dookoła matowych szybek jezior i stawów, które wyglądają tu jak pogubione na polach krople ręki. Tu i ówdzie czernieją wykopy, a obok nich kupki suszącego się torfu. Odosobnione kępki drzew i krzaków robią wrażenie pionków rozproszonych po szachownicy pod koniec zażartej walki. Zwycięski moczar zepchnął do defensywy żalosne niedobitki, osaczył je i skupia się do ostatecznego ciosu. Zadumane bociany zdają się śledzić finał walki i jak widzowie teatralni, w trakcie narastania dramatu, zapuszczają palce w torebki z słodyczami, tak one od czasu do czasu uderzają dziobem w mokradła.

Zza okna wieje surowością. W okiennej ramie, niby w ramie obrazu zamknięta jest kompozycja alegoryczna, mówiąca o goryczy walki z przemocą.

A przecież walka przyrody ma na tej ziemi drugorzędne znaczenie. Od kilkudziesięciu minut znajdujemy się na teatrze innych, nieustających, niczym w przyrodzie, zmaganiach, na pobojuwisku narodów, gdzie człowiek wyteżał wszystkie siły aby drugiego człowieka wyzuc z rodzimego gruntu i zniweczyć jego indywidualność narodową. Na tym teatrze rozgrywała się tragedia o niezwykłych głębiach i napięciach, jakby niemy dramat nurka, pochwyconego przez osmornicę, lub konanie samotnego wędrowca opadniętego przez wilki, cichy a nieodwracalny, jak praca morza, podmywającego przez wieki brzeg. O rozmiarach jego nie mówily pozytywne osiągnięcia. W perspektywie czasu ukazywał się on w fragmentach zniszczeń, bo całości nigdy się dostatecznie nie ogarniało. Tam gdzie wczoraj był brzeg, dziś przeświecał piasek przez zwierciadło wody, a za jakiś czas panoszyła się już głębia.

Dla fragmentu odwiecznej walki polskości z niemczyzną, jaka się tu rozgrywała, zmaganie słońca z pochmurnym niebem i moczaru z ubogą roślinnością stanowi nastrojowe wprowadzenie w temat, ale nawet nie analogię. O kilkadziesiąt kilometrów stąd przyroda jest piękniejsza i bardziej przyjazna dla życia. Podobieństwa sytuacyjne znikają nawet w tak chimeryczny, jak dzisiejszy dzień. Niszczycielska praca morza stanowi już lepsze porównanie i lepiej uwidatnia nieubłagalność procesu wymazywania polskości z oblicza tego kraju, bez pardonu, do ostatniego Polaka, wbrew żywym i ceniom, wbrew naturze, logice i prawu. Ale i porównanie z morzem nie oddaje perfidii metod niemieckich i ich przewrotności.

W systemacie niemieckiej agresji na wschodzie Prusy stanowiły ogniwo o szczególnym znaczeniu, punkt neuralgiczny. Biorąc rzecz od strony mechaniki procesów dziejowych, w wypadku Prus przeskoczyli Niemcy kilka faz pośrednich, jakie dzielił postanowiony podbój od momentu jego

realizacji. Jeśli z niemieckiego punktu widzenia ziemi nad Łabą i Odrą wpadły w ręce Niemców jak dojrzałe owoce, w drodze spiętrzania faktów dokonanych, Prusy, mówiąc językiem współczesnym, były zajęte przez desant i przez wieki pozostały wyspą w obcym morzu, sporadycznie tylko powiązaną z metropolią. Były produktem nie tyle politycznego ile militarne myślenia, co obciążało je bagażem specyficznych trudności i konfliktów.

Nie inaczej myślano też o nich w Niemczech. Do ostatnich dni Rzeszy wzajemny stosunek Niemiec i Prus cechuje jakaś nieorganiczność. Z jednej strony jest to kraj zapamiętały niemieckich upragnień, cel zaborczych aspiracji, z drugiej niepewna pozycja militarna, stale zagrożona, z natury bezbronna, skazana na ciągłe dozbrajanie. Najlepiej sformułował ten stosunek Hitler, jako świeżo upieczony „Reichskanzler“ w r. 1933 w kilku historycznych wykrzyknikach:

„Prusy Wschodnie! Niemcy myślą o was! Patrzymy z bezgraniczną ufnością na naszą wschodnią fortecę! Pozdrawiamy Prusy Wschodnie! Będziemy walczyć dla Prus Wschodnich do ostatniego!“

Dla mistyfikatora Goebbelsa mogły być Prusy „perłą Trzeciej Rzeszy“, dla przeciętnego Niemca były antypodami. Przekazywało się im przez eter gorące akty strzeliste. Słowa otuchy miały to samo brzmienie, co pozdrowienia dla zagubionej wśród lodów ekspedycji polarnej, czy zgola osaczonej przez wroga armii, wystawionej na wściekłą furie nieprzyjaciół.

O napięciu walki decydował strach. Zarówno ekspedycja polarna, jak otoczona armia, zdane są na pomoc ojczyzny. Przerwanie pomocy równa się zagładzie odciętych. Dla Prus zagrożenie leżało w niepewności położenia geograficznego i kruchości stosunków wewnętrznych. W takim stanie rzeczy, jaki panował tu do drugiej wojny, wszelkie fluktuacje stosunków politycz-

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (2)

nych niosły ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo dla niemieckości Prus.

Niebezpieczeństwem wewnętrznym i zewnętrznym była Polska. Wprawdzie żywił polski był tu już słaby i w dużej mierze spreparowany, a Polska jako przeciwnik nie przedstawiała w pojedynkę groźnego przeciwnika, ale za Polską była słuszność i wielostronne prawo własności, jak każde prawo brzemienne w następstwa. Niemcom nie pozostawało nic innego jak stała czujność, fortyfikowanie zagrożonej pozycji i zwalczanie przeciwnika, gdziekolwiek by postawił nogę na zagrożonym terenie.

Mieli tu Niemcy do zwalczania nie byle jakie przeszkody. **Wszystko w tym kraju**

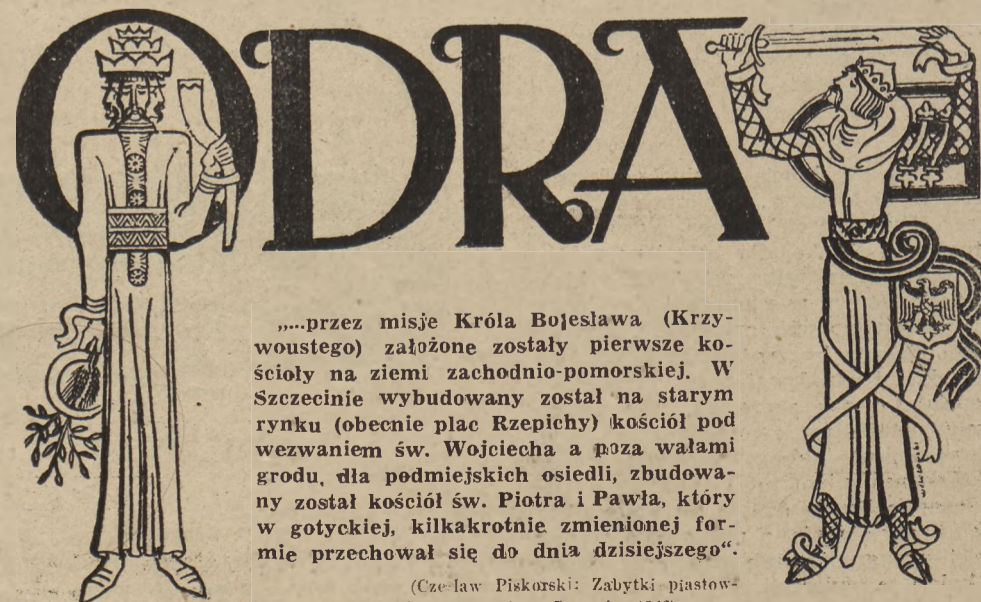


Piękno krajobrazu mazurskiego. Jezioro pod Pasymiem.

było przeciw nim. Prawem natury Prusy były przedłużeniem Mazowsza i dopełnieniem basenu Wisły w geograficznym i ekonomicznym sensie. Polska miała tu tytuł etnicznego pokrewieństwa z ludnością. Konsekwencją tych dwu pierwszych czynników była tradycja historyczna i tendencje rozwojowe kraju. Jedynie argument siły przed prawem, udrapowany w piórka „kulturtraegerstwa“ mogli przedstawić Niemcy w obronie swego panowania w Prusach. A była to zaledwie jedna strona zagadnienia.

Układ stosunków miał swe praktyczne konsekwencje. Już samo położenie geograficzne, całkowicie ekscentryczne w stosunku do Rzeszy, stanowiło problem ekonomiczny, bodaj nierozwiązalny. Struktura gospodarcza kraju, ludność, gęstość jej zasiedlenia, oblicze zawodowe, stopa życiowa, stanowiły antytezę niemieckiego układu stosunków, a analogię z polskimi. Nie tylko z polskiego, ale i z pruskiego punktu widzenia kraj ten był polskim pomostem do Bałtyku i polską życiową koniecznością. Dla Niemiec był tylko bazą, o przydatności której lepiej było nie wszczynać publicznej dyskusji. Najprzykrzejsze jednak było to, że w wyniku miejscowych warunków, element niemiecki zdradzał się tu z swą zupełną nieprzydatnością. W tym surowym i biednym na ogół kraju, wytrzymywali Niemcy tylko jako eksploatory ludności miejscowej, zdani na własne siły skazani byli na zagładę. Wyłaniała się konieczność zapewnienia niemieckiej ludności takich warunków rozwoju, jakich kraj sam z siebie dać jej nie mógł. Po prostu trzeba ją było wziąć na żołąd państwowi i uwolnić od walki o byt, w której ulegała.

Nim sławetna „przyjaźń“ przerwała publikację materiałów dotyczących Prus, polska publicystyka naukowa była w tej materii pokazna i dobrze zorientowana. Pol-



„...przez misję Króla Bolesława (Krzywoustego) założone zostały pierwsze kościoły na ziemi zachodnio-pomorskiej. W Szczecinie wybudowany został na starym rynku (obecnie plac Rzepichy) kościół pod wezwaniem św. Wojciecha a poza wałami grodu, dla podmiejskich osiedli, zbudowany został kościół św. Piotra i Pawła, który w gotyckiej, kilkakrotnie zmienionej formie przechował się do dnia dzisiejszego“.

(Czeław Piskorski: Zabytki piastowskiego Szczecina. Szczecin 1946).

skie publikacje krytyczne wymieniają jako główne „objawy kryzysowe” niemożność gospodarczą utrzymania Prus na poziomie zyciowym Rzeszy, niezdolność do ponoszenia ciężarów państwowych i świadczeń społecznych, nadmierne obciążenie rolnictwa i ucieczkę ludności do Rzeszy.

To była druga strona zagadnienia.

Niemiecka metoda zwalczania trudności i problemów pruskich, bo tak to trzeba nazwać, nosi znowu cechy militarne myślenia i stanowi odmianę wojny materiałowej. **Taktyka masowania sił w celu zmiażdżenia przeciwnika na strategicznie ważnym odcinku frontu, została tu konsekwentnie zastosowana.**

Dawne pogranicze przychodzi z pomocą w wysiedzeniu tych wysiłków. Domy i osiedla, niemieckie niegdyś, są tu rzadko rozrzucone. Czerwone maki dachów, wykwitają co kilka kilometrów na tle błękitnego nieba. Chowają się w kępach drzew, lub rozwalają na stokach wzgórz. Panują wzniesień jak forty, zwrócone twarzą do nieprzyjaciela, a ogromne stodoły zdają się być obliczone na niebywałą hojność natury. Różnią się one zasadniczo od tych chat mazowieckich, zostawionych na południu, co to zlewają się w jedno z krajobrazem, utrzymują w proporcjach i są jakby siostrami stogów, rozrzuconych po polach. Są też inne od wiele skromniejszych budynków tuziemców.

Przez puste obszary, biegną szerokie asfaltowe szosy, wysadzone pedantycznie drzewami. Odrywają się od nich samotne odnogi i podchodzą pod progi, cofniętych daleko w pola, gospodarstw. Asfalt i kostka luzują się na zmianę. Przez pola kroczą gęsiego długie szeregi słupów, krzyżują się, rozmijają, biegną równoległe i tam, gdzie sieć drutów elektrycznych nie została zerwana, zaciągają się nad ziemią jak gęsta pajęczyna. Gdy patrzeć na nie, narzuca mi się porównanie z widzianym niedawno lotniskiem niemieckim, porzuconym na piaskach centralnej Polski. Tam w szczyrim polu pobudowano betonowe pola startowe, pod ścianą lasu ustawiono lakierowane baraki, a przed nimi na zwieżonej z daleka ziemi, ktoś usiłował wyczarować kwietniki i zieleńce. Gdyby wojna trwała dłużej, kto wie czy nie hodowano by tu brzoskwiń na eksport, sadząc po uschłych beż opieki szczepkach.

Jak już powiedziano, do czasu „przyjaźni” mieliśmy dość dokładny obraz niemieckiej polityki protekcyjnej w Prusach. System Bismarckowski już dawno objął i wzmacnił dużą niemiecką własność rolną, junkrów. Kontynuowano go na coraz szerszą skalę, przy czym obok inicjatywy państwowej wciągnięto w tę akcję czynnik społeczny i instytucje kredytowe, dysponujące olbrzymimi środkami. **Już przed pierwszą wojną w r. 1914 zadłużenie rolnictwa pruskiego wynosiło 13 miliardów marek, wydanych głównie na melioracje i inwestycje.** Miały one zapewnić rolnikowi niemieckiemu w Prusach równy możliwie start z kolegą z Reichu. Powojenna dewaluacja zniwelowała ten dług do ¼, a państwo przez obniżkę stopy procentowej poproszyło krajowi z pomocą, jakiej wymagała zmieniona sytuacja polityczna i powstanie państwa polskiego. Ale stan równowagi ekonomicznej nie trwał tu długo. Nie znany cyfr z czasów hitlerizmu, który nakręcił tu koniunkturę w sposób bezprzykładny, ale proces zadłużania rolnictwa

## WIERSZE

Jerzy Lovell

### Posąg

sluchając IX-ej Symfonii  
Beethovena

Błąkający się pośród krwawych zachodów,  
wlokący cienie za sobą,  
śpiewamy: od powietrza, ognia i głodu  
Panie Boże biblijnym Hiobom —  
zachowaj nasze cienie na ziemi  
rozbiegłe w różne strony,  
w pochyłe krzyże nas przemień,  
bądź pochwalony.

Wala się nieba i rosną jaskinie morderców,  
śpiewamy psalmy przy rozdrożach,  
w dzwonach umarli serca,  
plenie pożar.

— Nie widzimy pośród trzech żywiołów  
białego słupa ciszy —  
zbliżyć dłonie i czoła,  
usłyszeć:

o co modlą się w każdej chacie  
spełnić ludzkimi rękoma.

### Spod ziemi

Na barkach naszych — ziemia piętrami  
wzwyż.

Kropla potu tu — tam wstaje słońcem.  
Pochyleni w trud, widzimy jak taje krzyk  
lachmanem żar witających.

— Daleko: ulice, ludzie,  
myśleć o nich przez śnieg i zawieję.  
Niosą w zbiegających dłoniach 31 dni —  
grudzień,

soplami nóg splywa śnieg i ślady ściele.  
Zjeżdżają w szyb — dalekie oczy towarzyszą  
prośbą,

szept o ciepło w górniczej lampce plonie.  
— Kilof ścisnąć, oburącz przechylić  
w rozmach:

dalekim słońce wnieść na czarnej dłoni.

pruskiego da się uchwycić zupełnie dobrze na tle dawniejszych danych. **Już w roku 1927 rolnicy pruscy siedzieli w długach na 10 miliardów, oprocentowanych na 6%. W r. 1932 dług wynosił już 15 miliardów i miał tendencję wzrostową w stosunku mniej więcej 20% rocznie.**

Stosunki były paradoksalne. Poziom hodowli bydła, prawie legendarny, oraz wydajność rolnictwa dawały złudzenie kwitnącego stanu gospodarki pruskiej i nadzwyczajnych zdolności niemieckiego rolnika. Rzut oka na statystykę odświeżał kulisy tej świetności. Większość średniej własności obciążona była od 60—100% szacunkowej wartości, a 20% majątków nawet na 100—200%. Nie trzeba zapominać, że rolnictwo było stosunkowo najbardziej produktywnym zajęciem ludności.

Nie mniej ciekawym, ale niestety trudniejszym zadaniem jest ustalenie wysokości subwencji udzielanych ludności miast. Ogólnie znany jest fakt, że w większości były to urzędnicy państwowi, wojsko i duże ilości emerytów i rentierów. Jako element niestały, nie związany zbyt ściśle z miejscem pobytu, korzystali oni z szeregu do-

Krystyna Leo

### Dolina cieplicka

W dzień z kaczkami się pluszcze,  
wieczorem  
za różowym obłokiem skacze z rybami  
i wciąż przegląda się w lustrze.  
Chodź, przejdźmy się nad stawami.

Mówisz, że ona pusta, że chce tylko się  
bawić —

w trzcinach ptaki się legną —  
nocą  
księżyc do gniazd zagląda na stawie —  
Strumieni kryształowe wstęgi  
w sieci traw się trzepocą.

Chwyć szmaragdowy warkocz,  
przytrzymaj!  
Ona mokra od rosy  
wcale mnie nie chce słuchać!  
Uciekła!  
Aż tu spod ziemi gorącym  
źródłem jak śmiechem wybucha!

Podgórzyn, lato 1946.

### Karkonosze

Związane,  
sprzęgnięte  
drogami, ścieżkami, drogowskazami  
w karby ujęte,  
ludziom poddane  
i kielżane  
wielkie zwierzęta  
stadem z zachodu ciągną bez końca.  
Swe ciężkie jarzmo na karku nosząc  
głucho wzdychają do wschodu słońca.  
Aż uznożone,  
w opar spowite,  
gdy je sen zmorzy,  
niebo łaskawie oblewa luną  
porannej zorzy.

Podgórzyn, lato 1946.

brodziejstw systemu protekcyjnego, jak znane szeroko dodatki wschodnie i intensywne budownictwo mieszkaniowe. Ale był jeszcze jeden odłam ludności, którym władze specjalną poświęcały uwagę. **Stosunek ludności wiejskiej do nieznacznej stosunkowo miejskiej był przedmiotem szerokich wysiłków niemieckich, by ową tak odmienną od niemieckiej proporcję doprowadzić co najmniej do stanu równowagi obu tych odłamów.** Akcja ta niewątpliwie musiała być subwencjonowana, jeśli w ciągu jednego pokolenia proces urbanizacji objął około 20% ludności.

W każdym razie wysokość rocznej dopłaty do „fortecy wschodnio-pruskiej” oceniano na podstawie niemieckich danych i to z lat kryzysu na 300 milionów marek rocznie. Oprócz szerokich planów gospodarczych, mieściła się w tym pikantna dopłata różnicy między dochodem a rozchodem społecznym, który w r. 1930 wynosił 600 marek dla przychodu i... 700 dla rozchodu na głowę mieszkańca. Miało więc i miasto swój udział w błogosławionym dla pruskich Niemców systemie. Wysiłek finansowy Rzeszy był fundamentem polityki niemieckiej

i rozkładał się równomiernie na wszystkich zainteresowanych. Nie różnił się on od normalnych budżetów zbrojeniowych, innych grubo większych krajów, w każdym razie dorównywał polskimi 700.000.000 zł wydawanym na obronność kraju.

Gdy się mija dawną granicę na trasie Olsztyn — Warszawa ma się widowisko jedyne w swoim rodzaju. Na przestrzeni kilku kilometrów wygląd kraju zmienia się nie do poznania. Rozmiary domów po dawnej polskiej stronie, maleją od razu do połowy a często do ¼. Zmienia się budulec, wyposażenie gospodarcze, „wschodnieja” miasteczka, wszystko staje się uboższe i prymitywniejsze. Ktoś niezorientowany, widząc brak zasadniczych różnic w gatunku gleby, gotów sądzić, że wchodzić tu może w grę jedynie kwestia umiejętności gospodarczych. Jest to miara niemieckich sukcesów w walce o niemiecki charakter Prus. **Kontrasty, jakie nderzają po przekroczeniu granicy, budowano z całą świadomością celu, jaki przez nie miał być osiągnięty, zarówno na terenie wewnętrznym jak i zewnętrznym.** Miały one po prostu kompromitować polskie racje geo-polityczne, wytwarzać jak najgorszą opinię polskim zdolnościom gospodarczym, wytwarzać mur przesądów o Polsce i polskiej państwowości. Strach o Prusy miał się udzielić także ludności i podniecić ją do wysiłków antypolskich, wywołać ich automatyczność. **Przez przyzmat stosunków pruskich Polska miała się wydawać ponurym widmem, zaczajonym za strzechami mazowieckich chat, prymitywnym barbarzyńcą, żądnym łupu i zniszczenia całych lat pracy dobroczynnych rządów niemieckich, których dziełem był dobrobyt kraju i wysoka stopa życiowa.** Na tym tle ukuto też, zdaniem Niemców nieodparty argument, że Polska, gdyby tu przyszła, nigdy nie będzie w stanie dopłacać tyle do Prus, ile dopłacała Niemcy. Był to argument, który nie brał pod uwagę waloru położenia geograficznego i jego ekonomicznych następstw, sprzyjających Polsce. **Był to jeden z nieczystych chwytów, który osłaniał własną słabość.** Z dysproporcji po jednej i drugiej stronie granicy łatwo było wysnuwać paniczne wnioski, a o to przede wszystkim chodziło.

Po plebiscycie, mimo zwycięstwa Niemców, Prusy przeżywały często coś, co by można było określić jako **polskie psychozy.** Co wiosnę i co jesień szła tu przez miasta i wieś szepciana propaganda o „polskim najeździe”. Był to **miernik niezrozumiałej atrakcyjności Polski, oraz kompleksu niższości Niemców w Prusach.** Postępująca zamocność i dalszy wzrost dysproporcji były tu koniecznością państwową wobec fantazyjnych planów, jakie roily pewne koła gospodarcze i polityczne pruskie. Był czas, że dążono całkiem poważnie do protektoratu... angielskiego, a Elbląg aspirował do... włączenia w obręb sąsiedniego Wolnego Miasta Gdańska. Dobrobyt pomagał w urabianiu pruskiego Niemca i windowaniu go na takie koturny ślepej megalomanii, z wysokości której wszystkie rozwiązania, a już szczególnie polskie stawały się odrażające i groźne, budziły odruch sprzeciwu.

Ta pogładowa argumentacja miała jeszcze jedną silną stronę. Było nią oddziaływanie na ludność polską i wbijanie klina nieufności do ojczyzny z za kordonu. Ale na ten temat trzeba będzie osobno pomówić. O tym ziemia pruska już nie mówi, tu trzeba świadectwa historii i człowieka, które naświetla proces podmywania samotnego brzegu przez uporczywe działanie morza.

## Echa polskiego Szczecina



BARNIM IX, książę pomorski, syn entuzjasty Polski, wychowanka Długosza, Bogusława X, zm. 1523. W roku 1552 Barnim w Gdańsku odnawia przymierze z Zygmuntem Augustem, skierowane przeciwko brandenburskiemu i Krzyżakom.



KOLATKA U DRZWI KAPLICY ZAMKOWEJ

Na lewo: ZAMEK PIASTÓW SZCZECIŃSKICH. Za drzewami z prawej wieża kaplicy zamkowej.

# Pamiętniki Ślązaków,

## Od redakcji

Wielu Polaków ze Śląska i z Pomorza przywdziało w minionej wojnie obcy mundur wroga. To było największą tragedią tych polskich regionów. Dziś już wiadomo, że n. p. na Śląsku wielu otrzymało wezwanie do wojska, nie starając się bynajmniej o obywatelstwo niemieckie i nie podpisawszy uprzednio t. zw. Volkslisty. Było to jawne pogwałcenie praw uznanych za międzynarodowe.

Prawdziwi Polacy również i w obcym mundurze nie zatracili godności narodowej. Opublikowane dwa fragmenty pa-

mieńczyków są tego wymownym przykładem. Autorem pierwszego jest młody publicysta Śląska Opolskiego, drugi skreślił górnik z rybnickiego. W tym drugim wypadku poprawiliśmy pisownię i interpunkcję, nie zmieniając stylu.

Przez druk tych i następnych pamiętników Ślązaków i Pomorzian nie zamierzamy bynajmniej usprawiedliwiać ogólnie samego faktu, chcemy dać tylko przyczynki do tragedii i wewnętrznej niezawisłości narodowej Polaków z wczorajszych krańców polskości.

Wilk Poloczek

## Błogosławieństwo aresztu

W roku przedłużenia powszechnej służby wojskowej w Rzeszy jeszcze o jeden rok, w słotne południe listopadowego dnia, na placu musztry tymczasowych koszar Bürgewerder 48 batalionu zmotoryzowanych saperów we Wrocławiu, skakało w pełnym rynsztunku połowym dwu starszych saperów pod komendą otulonego w nieprzemakalny płaszcz leutnanta Weser'a. Saperami, którzy dwa razy po pół godziny dziennie tarzali się w błocie i piasku ujeżdżalni konnej pod gołym niebem, byli: Jurij Liesner, alias Ljesny, Serbołużyczanin z Heli pod Kamienicą i ja, w metryce zapisany Wilhelm, chrzczony Tadeusz Poloczek z Górnika pod Bytomiem. „Przestępstwem“ naszym było wzięcie udziału w przyjęciu koleżeńskim w polskiej Bursie Akademickiej przy Taudentzenstrasse 90 na cześć działaczy łużyckich: artysty malarza Marcina Nowaka i seniora walczących Serbołużyczan — pisarza Jana Skali.

Właśnie wydano „wrześniowy numer „Młodego Polaka w Niemczech“ poświęconego Łużyczanom i wszystkie organizacje polskie w Niemczech manifestowały wspólnotę frontu walki o odrębność narodową, kulturalną i prawo samoistnienia. Edmund Osmańczyk napisał „Pozdrowienie braterskie“, które ja na spotkaniu, o którym mowa, wygłosiłem.

Jurij Ljesny odpowiedział na to łużyckim wierszem Jakóba Ciszyńskiego:

„Stańcie Serbowie do dzieła, choć trud  
[i słota.  
Z dawnych rodów grobu proszą was Ser-  
[bów kości.  
Stańcie i zrzucicie pęta szkodliwej obcości!  
Podnieście się, a będzie pośród was  
[jednota!

Nie wam żądać obcego ducha, obcej złydy!  
Wam trwać w mowie, w wierności ojców  
[serbskich mocnej  
I bronić, bronić każdej ziemi serbskiej  
[grudy!“

Słów żarliwych i twardych, wolą narbrzmiałych, świadomością pałających i płonących miłością było dużo — święciliśmy braterstwo walki.

Pod oknami wytrzeszczała ślepią Gestapo. Nasze niemieckie wojskowe mundury zwracały ich uwagę.

Na drugi dzień stawaliśmy do karnego raportu, najpierw przed dowódcą 5 kompanii — Hauptmannem von Ahlfen, a potem przed dowódcą batalionu, majorem Richterem. Spisano protokoły. Powiedzieliśmy bez ogródek, jak było i radowaliśmy się każdym słowem, którym dokumentowaliśmy zdecydowaną świadomość naszej odrębności narodowej i wolę walki o nią. Rozstrzygnięto, że do czasu zadecydowania w tej sprawie przez wojskowy sąd VIII Korpusu Armii von Kleista, siedzieć mamy o chlebie i wodzie w karcerze ścisłym, z tym, że dwa razy po pół godziny dziennie odbywać będziemy musztrę karną.

Osmego dnia w noc leżeliśmy na przyczach zmachani, gdyż Leutnant Weser był niewyczerpany w pomysłach karnego drylu. Jurij Ljesny, olbrzym blisko dwumetrowy o barach atlety, miał oczy o dobroci matki, nucił kołyszącą śpiewkę Ernesta Smolera „Słowian sym a wostanu — a Serbstwo prjodecy lubuju!“ Rozrzewniła go paczka z wiktem, którą przemycił dla nas kierownik życia polskiego we Wrocławiu,

Władysław Wardzyński, więc Jurij otworzył swe dotąd skryte serce i rozgawędził się na dobre.

Skarbem najcenniejszym naszej ziemi — mówił Jurij — to lud. W „Osteuropa Institut“ przy Striegauer Strasse słyszeliśmy, jak profesor historii Uniwersytetu wrocławskiego, ideolog niemieckiej polityki (Lebensraum na wschodzie) Kleo Pleyer mówił o kotle (Wendekessel), który wkrótce zostanie zlikwidowany, gdyż strategiczna kierunkowa dziejowych zabiorów i kolonizacji germanizacyjnej Niemiec, nie może znieść na zapleczu gniazda oporu słowiańskiego. Lepsze świadectwo trudno wystawić ludowi, którego żywiołem jest obrona. Łużyczanie przeskadzali rozrostowi Niemiec tak, jak Polacy złamali szczyt kierunkowej rozrostu niemieckiego — twierdził Kleo Pleyer\*) i konkludował, że w walce o byt niema innego morala, jak wola do zniszczenia tego, co stoi na drodze.

Przypomnieliśmy sobie te słowa i Jurij z dumą wyciągnął do mnie rękę, bo nieprzyjaciel oba nasze narody jednym niewąstnym tchem wymieniał.

Wiele mi tego wieczoru opowiadał Jurij o swoim narodzie. Zapełniła się cęla postaciami łużyckimi, czułem niejako ich żywy dech. Wreszcie skończył Jurij opowiadanie i chwalił począł areszt za to, że nas zetknął, że pozwolił się nam poznać.

\*) Nadmienmy, że Kleo Pleyer został skazany na śmierć przez organizację podziemną Polaków Nadodrza w dniu ogłoszenia „ustawy o ochronie ludności niemieckiej i pomocy w zakorzenianiu i rozprzestrzenianiu narodowości niemieckiej w nowoodzyskanych obszarach wschodnich — Pomorza, Poznańskiego i Śląska“, której współtwórcą był. Wyrok został wykonany pod Wjazną, gdzie Pleyer dowodził kompanią grenadierów 54 pułku z Głogowa.

Stanisław Telega

## Rodło z rąk kaszubskich

Po raz drugi przeżywał Szczecin swoje wielkie dni. Pierwszy raz było to w kwietniu br. podczas t. zw. „Dni Szczecina“. Napłynęło wtedy do tego miasta budzącego się z letargu historycznego ponad 20.000 ludzi z całej Polski. Manifestowali, zapelniali tłumnie ulice i dziwili się niezwyklej piękności naszego grodu, o którym przywykło się wtedy mówić, że leży na „Dzikim Zachodzie“.

Szczecin budził wtedy zachwyt swoją krasą wiosenną i przepysznym rozplanowaniem przestrzennym. „Miasto ogrodów i will“ — mówiono — „nasza strażnica Zachodu“ — dodawano z dumą. Pełno było słów o „pionierstwie“, „rubieżach“, „ziemiacach“, „słowiańskości“. Przypominało to zachwyt z okresu pierwszej miłości i to miłości od pierwszego spojrzenia. Słowa pływały jednak po wierzchu zjawisk, po efektach zewnętrznych. Deklamowano o porcie, choć tego portu nie było jeszcze w istotnym znaczeniu tego słowa. Zachłystywano się polskością, względnie słowiańskością miasta, choć widomie w całej pełni tych śladów jeszcze nie dostrzegano. W miłości jednak, zwłaszcza w jej początkowym okre-

Więc i ja opowiadam mu, jak to w ubiegłym stuleciu Jan Bohuwier Smoler i ksiądz Michał Hórnik byli w Warszawie. A pismo ówczesne tak oto o Łużyczanach w związku z tymi odwiedzinami pisało („Tygodnik Romansów i Powieści“ nr. 638, tom XXV z dnia 7. 3. 1881 roku w kronice tygodniowej): „Gromadka wieśniacza z kapłanami, nauczycielami wiejskimi i drobną garścią inteligencji miejskiej, stoi jak mur przy tradycji i języku pradziadów z zamierzchłej przeszłości... Maluczcy urągają czterdziestomilionowemu Olbrzymowi! Wierni strzesze swojej, odrzucają ze wstrętem i oburzeniem myśl „Wielkiej kultury“ niemieckiej, wciskając się do nich drzwiami i oknami. Sterczą kostką w gardle...“

„aż gardziel ta się zakrzusi“ — dodał Jurij.

Gdy nadszedł dzień rozprawy przeciw nam, cieszyliśmy się z tej przyłężności (okazji) zmanifestowania przed najbar-

dziej kompetentnymi władzami naszego poczucia narodowego. Jak my, pierwsi z naszych, podlegających obowiązkowi powszechnej służby wojskowej się pokażemy, tak Niemcy będą widzieć i traktować naszych następców. Irredenty w naszej postawie doszukać się sąd nie mógł. Wyszliśmy z dwoma tygodniami ścisłego. „z powodu udziału w politycznym zebraniu“ — i z reputacją, którą później odczuliśmy na własnej skórze. W osobnych celach rozważaliśmy, czy będziemy dobrym przykładem dla tych młodych, kształcących się Polaków i Łużyczan w polskich gimnazjach w Bytomiu i Kwidzynie. Przyjaźń nasza zmogła potem jeszcze inne próby. Łużyczanie sześć lat później, w wojnie z hitlerowską Rzeszą Niemiecką, brali udział w akcji unicestwiania fabrykacji bomby zamrażającej (Einfrierungsverfahren) i wykryli miejsce fabrykacji bomby anulującej tlen (Sauerstoffentziehende Bombe).

Jerzy Szulczyk

## Zyciorysu część francuska

Po 10-cio miesięcznych udękach w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu dostałem się szczęśliwie do domu, gdzie nie byłam długo, bo prawie (zaledwie) 4 miesiące — i dostałem powołanie do wojska. 19 maja 1943 pojechałem do Neutitschein w Czechosłowacji i zostałem przydzielony do 1 komp. piechoty, gdzie było około 65 proc. Ślązaków, którzy nie byli Niemcami. Ale w tej kompanii byłem tylko 7 dni. Pierwsze dni to się nam zdawały, że jesteśmy we więzieniu, bo gonili i wyzywali na nas. Było to dobrze, bo wszystkiego nie rozumieliśmy, i przyznam się, że ani nie umiałem mówić po niemiecku. Dnia 26 maja 1943 wyjechaliśmy do południowej Francji do Montauban. Tam przechodziłem wyszkolenie rekruckie. W połowie wyszkolenia zachorowałem na zapalenie opłucnej (w oryginale: zapalenie zieberków) i odwieziono mnie karetką pogotowia do szpitala wojskowego w Toulouse dnia 29 czerwca 1943. W tym szpitalu obsługa była dobra, ale już się tak nie odnosiło do Ślązaków, jak do tych rodowitych Niemców. Dnia 1 września zostałem uznany za zdrowego i zwolniony do swojej kompanii w Montauban, gdzie byłem jeszcze miesiąc. 30 października wyjechaliśmy do środkowej Francji do miasta La Rochelle do batalionu, w którym byłem 1 dzień. Następnego dnia porozrzucali nas po kompaniach i 10 dostało się nas do jednej małej wioski St. Quen d'annis na kwatery po domach cywilnych.

Pierwsze dni w tej wiosce były okrutne, bo ludzie odnosili się do wojska niemieckiego bardzo źle, aż powiedziałem tej Francuzce, co u niej mieszkałem, że jestem Polakiem. Zaraz było mi lepiej. Było to

widać, że Francuzi czcili Polaków. Gorzej mieli się tu Niemcy i nawet nie mogli nic kupić, ani mleka, ani jajek, ani masła. No zupełnie nic. Później gdy oni mnie bliżej poznali i dowiedzieli się, kim jestem i że mundur noszę tylko dlatego, że muszę, — namawiali mnie do ucieczki z wojska i byłbym to uczynił, ale jeszcze nie było gdzie uciekać i powiedziałem, że pójde później.

W lutym 1944 byłem na urlopie w domu a w maju 1944 wybuchła inwazja we Francji koło Cherbourga i tak Anglicy szybko się posuwali po obszarach francuskich — jedni ciągnęli w stronę Niemiec a drudzy w dół na La Rochelle — że za parę dni stali już niedaleko tej wioski St. Quen d'annis, bo nieprawie 4 kilometry. Niemcy zrobili twierdzę, która im się udało i zrobili sobie kocioł, w którym było bardzo źle, bo nie było jedzenia tylko to, co wykradali ludziom cywilnym. Niemcy bali się okropnie Ślązaków i mówili, że „Wy Ślązacy zamierzacie uciekać z tego kocioła do francuskich partyzantów“. Bo tak było, że każdego dnia uciekali z bronią do nich, to też każdego Ślązaka pilnowali i nie wolno nam było samemu wychodzić do miasta jak tylko z jednym rodowitym Niemcem. Pewnego dnia odprawialiśmy urodziny kolegi i na tej gościnie byliśmy wszyscy Ślązacy społem. Wtem przychodzi feldfel i powiada:

— Jak zwykle sami Polacy siedzą i radzą nad czymś. Nie radźcie, bo Polska znikła i nie powstanie, bo naród polski to nie ludzie, to są świnię...

Mysły się oburzyły i za pierwszego (jako pierwszy) uderzyłem go w twarz. Byłbym mu jeszcze więcej dał, ale po pierw-

się na nogi gospodarzo i przemysłowo. W przeciagu paru miesięcy przestał leżeć na „Dzikim Zachodzie“.

Teraz przeżył swój okres. Mniej pustosłowy, choć bardziej nawet uroczysty, ale za to realny. Już nie padały tylko słowa o polskości tych ziem. Wyszła ona teraz manifestacyjnie i na prawdę wruszając w dniach Wielkiego Zjazdu Autochtonów Pomorza na ulice. Wyszła trochę zawstydzona tym, że ją teraz dopiero odkryto. Witaj ją Szczecin jesienny, spalający się w stubarwnych kolorach, Szczecin, w którym jest już Akademia Handlowa, teatr zawodowy, Klub literacko-artystyczny, Biblioteka Miejska licząca 300.000 tomów, dwa stałe periodyki, a przede wszystkim port, administrowany w ¾ przez polską obsługę i przygotowujący życie morskie na wielką skalę.

Dnia 21 września dzień wstał pochmurny, nasiąkły długim, ciężkim deszczem. Mimo tego Szczecin rozruszał się nadspodziewanie. We wczesnych godzinach rannych przybyły popularne pociągi z Kaszubami-autochtonami z Ziemi Bytowskiej, Człuchowskiej i Słupskiej. Przybyły też liczne delegacje rolników, młodzieży, organizacji, partyj z całego Pomorza Zachodniego. Dzień był deszczowy, zły, rokujący najgorzej dla tego rodzaju manifestacji. Na szczęście pierwsza część uroczystości miała charakter raczej kameralny, zamknięty



Zapelnily się brzegi szczecińskie Kaszubami, tęskniącymi za wysoką falą.

Minęło jednak kilka miesięcy. Szczecin wyszumiał z wielkich słów, napełniał do cyfry 100.000 ludzi, pokrył się dachami i szybami, rozrósł się i zahuczał portem, pogłębił instytucjami kulturalnymi, postawił

# Żołnierzy pruskich

szym uderzeniu wywrócił się i wołał o pomoc. Wtem wbiegło z innych pokoi parę Niemców i musiałem dać mu pokój. Na drugi dzień stawałem do raportu i zostałem przekazany przez są wojskowy i dostałem za to 3 miesiące ścisłego. W tym areszcie było marnie ze wszystkim jak z jedzeniem tak i z paleniem, co trzeci dzień dostałem ciepłe jedzenie na ale jakoś to przeszło.

Gdy wróciłem do kompanii oberleutnant powiedział, że nie może mnie trzymać w tej kompanii dłużej, bo bym jeszcze mógł kogoś postrzelać. I zostałem przesadzony na wyspę Ré do rzeźni wojskowej. Ale tam nie byłem długo, bo tylko miesiąc i jak się dowiedziałem, że Rybnik został zajęty przez Rusów, to sobie pomyślałem, że teraz mogę uciekać, bo ojcom (rodzicom) nie mogą za mnie już nic zrobić. Wieczorem jeszcze ukradłem jednemu unterofficerowi pistolet i rano wyszedłem. Ale trzeba było prędko iść, na szczęście jechało auto cywilne i zastawiłem je i mówię, żeby mnie wziął do portu. A on mi mówi, że nie wolno zabierać żołnierzy — i patrzy na mnie ze złością. Na to ja, że jestem Polakiem i uciekam z Armii do partyzantów. Popatrzył i powiada: Wchodź na auto i nie pokazuj się. Przyjechałem do portu i poprosiłem jednego rybaka, żeby mnie przewiózł do La Rochelle, skąd pociągłem udałem się do tej wioski, gdzie przedtem mieszkalem u Francuzów.

Gdy wszedłem zdziwili się nad tym, że jeszcze do nich przyjechał. Krótko powiedziałem im, że dzisiaj uciekam do partyzantów. Zaraz zdarli ze mnie mundur i dali mi ubranie cywilne. Ale długo się nie mogłem u nich zabawić, bo w tej wiosce byli jeszcze Niemcy co mnie znali i bałem się, że mnie złapią. Wziąłem jeszcze dwóch kolegów ze Śląska i poszliśmy wieczorem ku linii, która się nazywała H. K. L. (Hauptkampflinie).

Widzieliśmy, jak posterunki stały jeden blisko drugiego, — jak się tu teraz przedostać? Ale podczołgałiśmy się bliżej do posterunku i oddałem jeden strzał z pistoletu do wachy, która się wywróciła —

i wtenczas biegiem za linię. Oświetlali rakietami pole i strzelali z maszynówek. Kryłem się z kolegami po dziurach, których było pełno od bomb, i tak dostaliśmy się do pola, gdzie nie było ani Francuzów ani Niemców. Wtem słyszę, że ktoś woła: Alt! Stałem i podchodzi do mnie dwóch Francuzów uzbrojonych i pytają się mnie, który byłem w cywilu, co tu robisz. Mówię im prawdę i tak zabrali nas do miasta Niort. Tam zaraz ubrali mnie w mundur a kolegów zamknęli, i wypuścili ich dopiero na drugi dzień i też im dali mundury.

Czwartego dnia przedwołał mnie fancu-

ski kapitan i powiedział, czy pójdę z jednym oficerem na patrol. Zgodziłem się i poszło nas kilku w tym pięciu Ślązaków, którzy także przedtem już uciekli do partyzantów. Podchodzimy do Andylli na drodze do St Quen d'annis a tu już leżą Niemcy i stoi działo z obsługą 8 chłopów. Jeden był tylko na warcie a reszta spała w baraku w ziemi. Do tego jednego to się podczołgałem krzami i złapałem go, żeby nie krzyczał. A tych śpiących wyprowadził francuski oficer ze Ślązakami. Kazaliśmy im wziąć amunicję i działo i ciągnęli je do naszej kwatery. W Niort po-

dziękował mi kapitan i dostałem od niego 5 tysięcy franków w nagrodę.

19 maja 1945 została ogłoszona kapitulacja a 20 maja wkroczyłem z wojskiem francuskim do La Rochelle. Wielkie oczy zrobił oberleutnant, kiedy mnie ujrzął. Dowiedziałem się, że z dywizji przysłał rozkaz, który odczytali we wszystkich kompaniach dla postrachu, że mnie złapali i zastrzelili za dezercję (w oryginale: Fahnenflucht).

Na początku lipca zaciągnięto mnie ponownie do wojska ale już do armii polskiej do Avinion. 28 października 1945 zdeklarowałem się na powrót do kraju. 1 listopada wyjechaliśmy do Polski a 8 listopada ze Szczecina przyjechałem do domu, gdzie jestem do dnia dzisiejszego.

## Kronika słowiańska

### Stypendium polskie im. J. I. Kraszewskiego dla młodzieży łużyckiej

Jest temu akurat 67 lat, kiedy jeden z olbrzymów pisarskiej pracy, Józef Ignacy Kraszewski, uczynił gest wspaniałomyślności, ofiarowując część dochodu swego z roku jubileuszowego na stworzenie funduszu stypendialnego dla ucznia Łużyczanina, „odznaczającego się pilnością i dobrymi postępkami w nauce języka ojczystego“.

Suma dwu tysięcy Mk. n. była na owe czasy tak hojnym darem, że starczyłaby na wyposażenie nie jednego, ale pięciu uczniów łużyckich. Nic więc dziwnego, że szlachetny akt Kraszewskiego wzruszył do głębi serca patriotów łużyckich, wywołując niebawem akt moralnego rewansu w postaci mianowania autora „Starej baśni“ honorowym członkiem zarówno najpoważniejszej instytucji łużyckiej, jaką była „Macierz Serbsko-Łużycka“ w Budziszynie, jak i ad hoc stworzonego „Tow. Pomocy dla studiujących Łużyczan“, mającego wspólnie z Macierzą decydować o rozdziale stypendiów i wyborze kandydatów.

Piękny dobroczyn Kraszewskiego — jak nazywa gest jego zasłużony łużycki pisarz

i działacz narodowy, ks. Michał Hórnik w liście dziękczynnym do ofiarodawcy (z dn. 8. XI. 1879) — był jednym z licznych dowodów szczerego zainteresowania Kraszewskiego losem naszych pobratymców z nad Sprewy oraz chęci ratowania ich przed zagładą germańską. Dzięki jemu — jak się wyraża Hórnik — „upewnionym został związek pobratymczej miłości i łaski między Polakami i Serbami Łużyckimi“.

Prof. Witold Taszycki w cennej swej rozprawie o Kraszewskim i Łużyczanach, drukowanej tuż przed wojną w warszawskim „Przeglądzie Współczesnym“ (R. XVII, Nr. 1 str. 119—132), dowiódł wprawdzie, że pobudką do tego ofiarnego czynu autora obrazków „Nad Sprewą“ dał nie inny, tylko inny Polak, fanatyczny obrońca Łużyczan i autor pierwszego zarysu ich dziejów, Wilhelm Bogusławski, kiedy bawiącego w Dreźnie wówczas Kraszewskiego dopinguje słowami: „Czynem takim wypłaciłbyś się Pan ludowi, którego powietrzem oddychasz“ za wszystko, co robi naród dla Pana.“

Niemniej słowa Bogusławskiego padły na grunt dobrze już przygotowany, którego użyźniać nie trzeba było, gdyż wchłonał on był od dawna ożywcze soki braterstwa polsko-łużyckiego, z których wyrósł cały szereg przepięknych fragmentów w opowiadaniach, powieściach i studiach historycznych Kraszewskiego.

Czynem swym zmanifestował nasz wielki powieściopisarz z jednej strony świadomość przodujących kół polskiego społeczeństwa doniosłej roli, jaką spełniali Serbowie Łużyccy przez dziesięć wieków swych dziejów, jako najbardziej na zachód wysunięta placówka Słowiańszczyzny, — z drugiej zaś strony rzucił realne podstawy pod tradycyjny związek duchowy pomiędzy Łużyczanami i Polakami, związek zadzierżnięty jeszcze na Hrodziszczu pod Budziszynem, kiedy w r. 1018 Wielki Bolesław, nazwany przez Łużyczan „Chrobrym“, wcielił do państwa polskiego „po wieczne czasy“ ziemie Serbów, Łużyczan i Milczan.

Tę tradycję kulturalnego zjednoczenia i współpracy zapoczątkowaną w sposób tak szlachetny przez Kraszewskiego, powinniśmy dzisiaj podjąć i kontynuować. Cześć dla tej tradycji nie umniejszą w niczym nowej linii polityczno-społecznej, trasowanej w duchu orientacji demokratycznych. Przeciwnie, pogłębi ona i doda walorów twórczych zdrowo pojętemu demokratyzmowi i słowianofilstwu.

Dlatego pozwalam sobie wystąpić z ideą, którą, mam nadzieję, podejmą chętnie nasze czynniki państwowe i instytucje kulturalne.

Ponieważ, o ile mi wiadomo, Ministerstwo Oświaty przyznało już kilka stypendiów dla mającej się kształcić w b. roku szkolnym na terenie polskim młodzieży łużyckiej, proponuję, by stypendia te nosiły miano stypendiów im. J. I. Kraszewskiego. Wskrzesażona zostanie w ten sposób tradycja szlachetnego czynu Kraszewskiego i oddana zostanie zarazem cześć wielkiemu pisarzowi, jako jednemu z pierwszych u nas pionierów braterstwa polsko-łużyckiego.

A z czasem, gdy stypendiów takich powstanie w Polsce więcej i zaroi się w naszych zakładach naukowych od młodzieży serbsko-łużyckiej, będzie można rozszerzyć tę symboliczną nazwę stypendiów i na innych zasłużonych pionierów tej samej idei, tworząc zapomogi naukowe dla Łużyczan im. **Wilhelma Bogusławskiego**, dla historyków np.: **Alfonsa i Melanii Parczewskich** — dla publicystów i dziennikarzy: **Romana Zmorskiego** — dla literatów i artystów: **Baudouina de Courtenay** — dla językoznawców i filologów. Wszystko to są bowiem pionierzy tej samej idei, którą wskazał swym czynem Kraszewski, — bezinteresowni idealisci, co trudem własnym, pracą i groszem, ciężko zapracowanym dzielili się z braćmi Łużyczanami w okresach najcięższego ich przesładowania przez pruską brutalność.

Tadeusz Stan. Grabowski

### Nowe wydawnictwa czeskie o Śląsku, Łużycach i granicach czeskich

Matica Czeska w Opawie wydała dwie książki poświęcone Śląskowi: „Ślesko, cesky stat a ceska kultura“, poświęconą całemu Śląskowi, oraz „Hlubcicko, Rati-borsko a Kozelsko“ o „czeskiej przeszłości“ Górnego Śląska.

Łużyczanom poświęcona jest książeczka J. Kapitana, „Srbska Lužice“, z przedmową posła J. Davida, autora wydanej w r. 1944 w Londynie książeczki „Luzicti Srbowie“. Poza tym pod tytułem „Cesky venec Lužicki“ wydano zbiór poezji czeskich poświęconych Łużyczanom, ale krytyka nie wyraziła się zbyt pochlebnie o poziomie wydawnictwa.

Zagadnieniom przyszyłych granic Czechosłowacji poświęcone są dwie książki: Müldnera „Nas stat ve vyvoji svetovych dejin“ oraz Stloukala „Na rozhrani vekov“. Obie książki postulują znaczne poszerzenie granicy Czechosłowacji na Zachodzie (z włączeniem Łużyc), południowym Zachodzie (na Polu Morawskim), południu (kosztem Węgier) oraz północy, w kierunku Kłodzkiej części Śl. Górnego. jr.

## Nagroda Literacka Czytelników »Odry«

Szósta lista składek

Sześciotygodniowy Jedenasty Kurs Kierowników Świetlic org. przez Wojew. Urząd Inform. i Propag. w Katowicach 1.500 zł.

Dr. Mieczysław Tobiasz, Kraków 1.000 zł

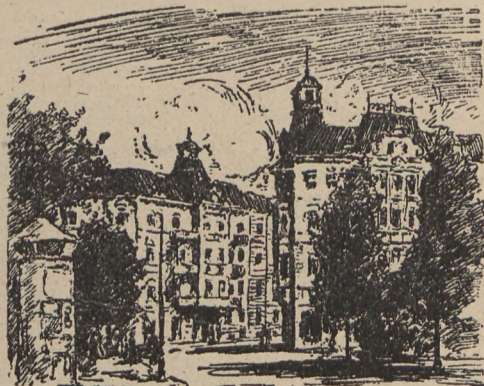
Suma dotychczas złożonych składek wynosi 30.000 zł. Dalsze składki prosimy kierować na konto P. K. O. Katowice III-4960 z dopiskiem „Nagroda Literacka Odra“.

w wielkiej sali pięknego Urzędu Wojewódzkiego. Przed południem sala napęczniała już od uczestników, delegacji, dostojników i patosu uroczystości, co jednak najwidoczniej brakowało w tym wszystkim, bo po sali szedł szmer niepokoju. Niepokój rósł w pytanie: „Gdzie są Złotowianie?“ Gdzie są Złotowianie, ci najliczniejsi, najbardziej zwarczi, chluba i duma autochtonów. Nie ma Złotowian. Nie przybyli jeszcze, bo pociąg „nawalił“. Szmer rósł wzmagał się. Ale przed samym południem przyszła radosna wiadomość. Są Złotowianie, przybyli, już walą całą gromadą do Urzędu. Nic też dziwnego, że przywitał ich gwar radości i oklasków. Złotowianie, Złotowianie! A oni sami jakże byli zdumieni i wzruszeni! Nie spodziewali się widać tak uroczystego przyjęcia i wyszczególnienia.

Posypały się przemówienia, a jakże, bez tego ani rusz. Ale to oficjalne, ze strony „czynników miarodajnych“ były patetyczne, i „oficjalne“. Dopiero szarpnęło wszystkich, gdy przemówili synowie tej ziemi twardej i tak mało znanej Polsce. Zaszumiało więc w narodzie, gdy przemówił w dialekcie kaszubskim, ze swadą, przedstawiciel wojska, rodowity Kaszub. A potem działacz byłego Związku Polaków w Niemczech. Wreszcie ci najbardziej oczekiwani. Złotowianie, Człuchowianie, Bytowianie czy wreszcie „Starzy Szczecińscy“.

Po południu druga część uroczystości. Odstąpienie tablicy pamiątkowej na starym

Zamku Piastowskim ku czci ks. Domańskiego, prezesa Związku Polaków w Niemczech, zamordowanego bestialsko przez Niemców. Odstąpienia dokonał syn Ziemi Pomorskiej wicewojewoda Thomas. Jeszcze się słońce nie pokazało, nie zagrało barwami po wieńcach drzew i alej, ale deszcz ustał, przetarło się i wypogodziło.



Zapełniły się ulice i place Szczecina wiernymi Polsce Kaszubami.

Zrobiło się jaśniej nad Zamkiem Piastowskim. Ten Zamek to wielka epopeja polskości tych ziem. Zamek najdrzenniejszych Piastowiczów, Każków Szczecińskich, Baranów, Bogusławów Wielkich. Nie można

było wybrać lepszego miejsca na ów akt symboliczny.

Wieczór upłynął na „Dożynkach“. Rozhulały się chlupy spod Gryfina, Złotowia, Bytowia, Człuchowa. A muzyka rżnęła od ucha do ucha. Cieszyło się bractwo szczecińskie, odwykłe na ogół od regionalizmów, „uportowane“, zbieranina z całej Polski.

Ale największa uciecha dla oczu i serca przygotowywała się dopiero na dzień następny. Parada. Defilada. Przemarsz wszystkich przyjeźdźnych i wszystkich wybranych z samego miasta przez ulice. Słońce nie poskapiło w następny dzień swej kraszy. Rozszypało ją szczerze, bez umiaru. A że niedziela, więc radość podwójna.

Że parada, że uroczystość jak dziesiątki innych? Nie! Pomijając już to, że była to w przeważnej większości parada autochtonów i dla autochtonów, trzeba przyznać się jeszcze do jednego, co Wam w Polsce centralnej wyda się dziwne i może śmieszne. Nam tu w Szczecinie potrzeba tego wszystkiego. Nam oddalonym o parę kilometrów od granicy niemieckiej. Nam zebrany i pomieszany z całą Polską. Nam, którzy mamy tak mało jeszcze własnej, szczecińskiej tradycji i regionalności. Nam spragnionym polskości i jej nawet najbardziej powierzchownych akcesoriów.

Dlatego my przejmujemy symbol rodła i nadal go święcić chcemy. Tylko rodła wolnego od zmyru niemieczyny. **RODŁA ZWYCIĘSKIEGO.**









## Ankieta „Odry“

Pisarze polscy  
na Ziemiach  
Odzyskanych

Zdzisław Hierowski



1. Osiedlenie się moje na Śląsku po wojnie jest tylko powrotem po siedemnastu latach pobytu tutaj, przerwanych latami wojny, które były dla mnie równocześnie latami nieustannej myśli o wyzwolonym całym Śląsku i — co tu dużo mówić — latami tęsknoty. Są w życiu każdego z nas momenty, w których chciałoby się być poetą, kiedy boli niemoc pełnego wypowiedzenia swego przeżycia. Jeśli i ja momentów takich doznałem, to jednym z nich był ten, kiedy stanąłem po raz pierwszy od dnia 2 września 1939 r. w lutowy, szary ranek na moście brynickim i ujrzałem kominy Szopienic. Tu na Śląsku obrałem sobie swoją ściślejszą ojczyznę i wydaje mi się, że nie mógłbym żyć w innej części Polski. Jako młody chłopiec przeżyłem to wszystko, co przeżywają dzisiaj nasi repatrianci i przesiedleńcy (tym więcej, że i moje drogi wiodły tu od Przemyśla). Poznałem i gorycz i radość tego zżywania się z nową ziemią i nowymi ludźmi i, patrząc na te sprawy z perspektywy czasu, jestem spokojny o losy polskości na Odzyskanych Ziemiach Śląska. Bo przekonany jestem, że masa osiadłych tu świeżo Polaków przejdzie ten sam proces psychiczny (i uczuciowy), jaki stał się moim udziałem. Z wdzięcznością wspominam to grono moich śląskich przyjaciół, które sprawiło, że stałem się pełnym członkiem społeczności śląskiej, opuściwszy strony rodzinne, nie stałem się człowiekiem bez regionu.

2. Konsekwencją tego mojego związania się ze Śląskiem są moje zainteresowania literackie. Jako krytyk i historyk literatury po trosze, korzystałem i korzystam w pełni z tego zjawiska, które Julian Przyboś określił kiedyś jako „koniunkturę literacką na Śląsku“. Z zapałem i z całą świadomością zamiarów i celów poświęciłem się wyłącznie problemom kulturalnym i literackim Śląska — nowym i dawnym. Żmudne i trudne zajęcia zarobkowe, skąpość dochodów literackich (pamiętasz, kolego Redaktorze, jak musieliśmy dopłacać z własnej niezasobnej kieszeni do utrzymania pisma literackiego na Śląsku?) nie pozwoliły mi przed wojną na systematyczną i owocną pracę literacką w obranym kierunku. Mimo to miałem szczęście niejednemu pocie śląskiemu ułatwić wejście w świat i torować mi trudną drogę do serc czytelników artykułami w pismach śląskich i pozaśląskich, wieczorami literackimi i audycjami radiowymi, którymi mógłbym spory tom zadrukować, gdyby nie ich specyficzna radiowa forma. Gdy po raz pierwszy otworzono przede mną mikrofon w r. 1937, mówiłem o współczesnych poetach Śląska i temat ten przyszło mi potem niejednokrotnie w różnych wariantach powtórzyć. Tu wraz z gronem poetów, którzy wystąpili na widownię około r. 1937, przyszło mi przeżyć moją „Sturm- und Drangperiode“ i rozegrać zwycięską kampanię o stosowanie kryteriów artystycznych w ocenie śląskiej twórczości regionalnej. Tu poznałem przedziwny smak bezpośredniego kontaktu z człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej, któremu niosłem — początkowo, przyznam, nieśmiało i z zakłopotaniem — słowo literackie. Wojna zniszczyła mi przygotowywaną do druku antologię nowszej poezji śląskiej i mocno już podciągniętą monografię o narodowym poecie Śląska Cieszyńskiego, Ja-

## Listy z Polskiego Zachodu

## Kto pocieszy Cieszyn

Smutne jest miasto Cieszyn, jedno z najpiękniejszych miast w Polsce, miasto które według uwiecznionej na tak zwanej studni trzech braci tradycji powstało w roku 810 na pamiątkę radości trzech zbłąkanych braci, którzy tu właśnie po dłuższej tułaczce się spotkali. Dziś smutek i przygnębienie wyciera z każdego miejsca tego pięknego miasta, z twarzy napotkanego przechodnia, z licznych lokali, odpychających przechodnia wionącą z nich pustką i nudą, której nie przepędzi nawet najhulaśliwsza orkiestra. Pustką stoją okazałe cieszyńskie hotele, ze wspaniałym „Jeleniem“ w rynku na czele.

Czemuż jest smutne piękne miasto Cieszyn, tak pełne przed tą wojną życia, gwaru i radości? Oto brak mu drugiej połowy miasta, brak mu Zaolzia! Płynąca leniwie Olza, choć dziś ma tak mało wody, że prawie suchą ją można przejść stopą, a jednak odcina od siebie obie części miasta, — dzieli państwową granicą. Odcina od siebie wrogim murem dwa państwa, skazane swym położeniem, doświadczeniami przeszłości i swymi przeznaczeniami na jaknajserdeczniejszą przyjaźń i współpracę. Rozcięcie Cieszyna na dwie części szczególnie boleśnie razi oczy. Łączące dawniej obie części miasta mosty na Olzie uległy w ostatniej fazie wojny zupełnemu zniszczeniu, tak most jubileuszowy, u wylotu pięknej alei 3 Maja, jak i tak zwany most główny, w samym środku miasta, u wylotu najruchliwszej jego ulicy. Ruiny zwłaszcza mostu głównego aż bolą widokiem gwałtownej wyrwy, brutalnie urywającej główną ulicę polskiego Cieszyna. Po czeskiej stronie nad tą wyrwą tabliczka z napisem: Cesky Tesin, — po polskiej stronie odpowiedniej tablicy nie ma, nie trzeba jej, — i tak przecież wszyscy wiedzą, że to polski jest Cieszyn, i nie tylko ta jego część. Most jubileuszowy został niedawno naprawiony, ale jeszcze nie oddany do użytku. Na razie komunikacja odbywa się przez prowizoryczny, zresztą wcale solidny drewniany most, położony między tymi dwoma głównymi arteriami miasta, — nie tak łatwo go bez pomocy Cieszyńsiaka odnaleźć. To też jego istnienie nie osłabia w niczym wrażenia zupełnego, brutalnego odcięcia od siebie obu części miasta.

Przez ten most płynie ciągle ruch. Polskie i czeskie placówki sprawdzają przepustki, niekiedy kontrolują bagaże. Mimo dzielącej granicy, mimo różnego rodzaju utrudnień, związane są z sobą obie części miasta i kraju, — są przecież po drugiej, zaolziańskiej stronie krewni, przyjaciele, znajomi, często warsztaty pracy czy mieszkania. Troski Zaolzia pogłębiają jeszcze bardziej smutne nastroje Cieszyna, miasta, które bez Zaolzia skazane jest na powolne zamieranie.

Wiedzą o tym doskonale dawni mieszkańcy Cieszyna, wiedzą też ci wszyscy, którzy tu dopiero teraz, po wojnie przybyli. Przybyło ich dość dużo, jakoś się

nie Kubiszu. Po wojnie literatom śląskim otwarłem szeroko drogę na anteny Polskiego Radia, dałem im wszechstronne możliwości przemawiania do słuchaczy całej Polski a przy tej okazji powstał nowy tom moich szkiców na tematy śląskie, tom, który rozplynał się w eterze i nigdy się nie ukaże. Za to łaski druku doznały liczne artykuły krytyczne i reportaże, których długi szereg otwiera szkic „Pisarze Ziemi Opolskiej“, drukowany w „Dzienniku Zachodnim“ 20. 3. 1945 r. Dużą wagę pozwoliłem sobie przypisać dwóm obszernym artykułom na temat zagadnień kulturalnych Ziemi Odzyskanych i programu kulturalnego dla nich, które były pierwszymi wystąpieniami w tej sprawie.

Kradnąc czas pracy radiowej, której poświęciłem znacznie więcej, niż na to pozwalały siły, i którą prowadziłem do dnia 14. 8. 1946 pod hasłem wszechstronnej, szeroko pojętej odbudowy polskości na odzyskanym Śląsku, przygotowałem książkę pt. „Śląsk walczący“, która dziś jest już w rękach czytelników. Jest to pierwsza antologia poezji śląskiej, ujęta pod kątem walki polsko-niemieckiej. Wyszła od razu w dwóch wydaniach w nakładzie 13.000 egz. Pierwsze wydanie ma charakter krytyczno-literacki, drugie jest popularne i nie znajduje się w sprzedaży. Powędruje wprost do świetlic, bibliotek, domów kultury, do rąk „czarnego czytelnika“, by uczyć Śląska

urządzili, dostali lokale, sklepy, zasiedli za biurkami, ale życie się ich z dawnymi polskimi mieszkańcami miasta idzie dość opornie. Niemców jeszcze jest trochę w Cieszynie, ale bardzo niewielu. Ci najgorliwsi odeszli sami wraz z uciekającą armią niemiecką, inni tacy typowi cieszyńscy kupcy i rzemieślnicy, co i za austriackich i za polskich czasów z konieczności więcej po polsku jak po niemiecku mówili, starają się zostać, uzyskać rehabilitację. Często im się to podobno udaje. Mieszkańców ma Cieszyn w tej chwili prawie 17 tysięcy.

Wojna, działania bojowe, dotknęły miasto tylko w bardzo małym stopniu. Poza zniszczonymi mostami innych śladów prawie że nie widać. Ogromnie za to boleśnie dotknęła miasto okupacja hitlerowska. Wiele rodzin okryło się żałobą, z wielu domów wyrwano najdroższych do obozów koncentracyjnych, skąd niewielu wróciło. Ucierpiała najmocniej cieszyńska inteligencja, w pierwszym rządzie nauczycielstwo. Wstrząsającą pamiątką tych czasów jest wysoki, biały brzoźwy krzyż umieszczony w pięknym parku miejskim, nad Olzą. Czytamy napis: „Ku wiecznej pamięci Polaków, ku wiecznej hańbie Niemców“, a następnie 24 nazwiska mieszkańców Cieszyna i okolicy, którzy w dniu 20 marca 1942 r. zostali w tym miejscu powieszani na oczach spędzonej ludności. Powieszani za to, że byli Polakami. Byli wśród nich inżynierowie, rolnicy, robotnicy.

Inną pozostałością okupacji jest okaleczony pomnik pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka I, który z pięknego wzgórzka w parku miejskim spoglądał swego czasu na swoje miasto. Niemcy usunęli figurę cieszyńskiego Piasta i umieścili w muzeum, gdzie do dziś w nieuszkodzonym stanie się znajduje. Pozostała część pomnika została tymczasem użyta dla uczczenia innych, ogromnie cen-

nych sercu polskiemu zdarzeń, ale czy naprawdę należało sankcjonować dokonane przez Niemców barbarzyństwo, czy nie można było gdzie indziej umieścić nowego pomnika? I biedny Mieszko I, pierwszy Piast cieszyński, nie ma dla siebie w Cieszynie miejsca. Oglądać go można w muzeum jako dowód niemieckiej „kultury“ i — czyjejs bezmyślności.

Z innych pamiątek Cieszyna Niemcy usunęli na cmentarzu polskie napisy z grobów działaczy cieszyńskich Stalmacha i ks. Świętego i z grobowca Karola Miarki.

Innym śladem niemieckiego pobytu jest poważne zniszczenie zbiorów bibliotecznych cieszyńskiego muzeum. Książki stąd usunięte umieścili Niemcy w takim pomieszczeniu, że wiele z nich niszczało, inne wywieźli na wieś, na Zaolzie, skąd jakoś nie mogą wrócić. Pewne wartościowe przedmioty muzealne Niemcy również wywieźli. Poza tym jednak muzeum istniejące wzorowo urządzone, pod troskliwą opieką zakochanych w Cieszynie ludzi, — godne zawsze zobaczenia.

Jedynym wartościowym śladem pobytu tu Niemców to uporządkowany, porządnie kamieniami wyłożony rynek. Materiał przygotowany już zresztą przed wojną, plany również, Niemcy dali tylko roboczną — oczywiście też polską.

Wznosi się dalej wspaniale nad miastem, nad Olzą wieża zamku, pamiętająca piastowskie czasy z przed sześciu przeszło wieków. W parku zamkowym Niemcy przeprowadzili szereg badań wykopaliskowych, znaleźli cenne przedmioty z czasów przed Chrystusem i z pierwszych wieków polskiej państwowości. Niestety do parku tego nie można się było dostać, bo zamek zajęty był przez milicję. A równocześnie pustką, przygnębiającą pustką zioną olbrzymie masywne koszary, z pozabijanymi deskami otworami okiennymi. Na nie ich

(Dokończenie na str. 7)



Wizerunek Cieszyna z roku 1789.

tych, którzy go nie znają, przypominając tradycję jego walki tym, którzy jej nie pamiętają, by godzić starych i nowych gospodarzy tej ziemi na wspólną dolę i pracę.

Obecnie kończę obszerniejszy zarys krytyczny pt. „Śląsk literacki 1920—1945“, w której staram się nakreślić stan, nawarstwienia i rozwój ruchu literackiego na Śląsku w tym okresie. Ponadto przygotowuję do wydania książkowego tom szkiców z przeszłości Śląska Wincentego Ogrodzińskiego. Zamierzam opracować pierwszy wybór pism Józefa Lompy, ojca odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku, bieżąco opracowuję poszczególne zeszyty seryjnego wydawnictwa Zw. Zaw. Literatów Polskich w Katowicach, „Arkusza Śląskiego“, zawierającego utwory współczesnych pisarzy tutaj skupionych.

3. Najbliższe mi są zagadnienia kulturalne Ziemi Odzyskanych, problem ich kulturalnego zespolenia się z ojczyzną, a zrazem i zagadnienie współżycia ludności miejscowej z napływową. Zresztą interesuje mnie głęboko i bezpośrednio wszystko to, co na ziemiach tych się dzieje. Przeżywam entuzjastycznie każdy triumf polskiej myśli i pracy na tych terenach, boleśnie każde niepowodzenie i zaniedbanie od nadużyte przewodniczącego Pow. Rady Narodowej w Zgorzlecu po resztki napisów niemieckich w którymkolwiek z miast.

4. Trwale powiązanie Ziemi Odzyskanych z ojczyzną osiągniemy zdaniem moim przez: a) ujęcie sprawną ręką administracji tych terenów i oczyszczenie aparatu administracyjnego z elementów sprzedażnych, krótkowzrostnych i nie mających poważnego wewnętrznego stosunku do spraw, które się tu rozgrywają i które przychodzi im rozstrzygać; b) przez uporządkowanie problemów gospodarczych i osiedleńczych na tych ziemiach, stworzenie polskiemu chłopu i robotnikowi trwałych i solidnych podstaw egzystencji, będącej podbudową jego pionierskiej pracy i historycznego wysiłku; c) przez mądre uporządkowanie spraw narodowościowych, łagodzenie tarę pomiędzy ludnością napływową i miejscową oraz czujną i dokładną akcją oczyszczającą te ziemie z elementu niemieckiego; d) przez równoczesną z tymi poczynaniami wielką akcję kulturalną o szerokim rozmachu i rozległym wachlarzu zadań, obejmujących wszystkie dziedziny życia duchowego; e) przez wprowadzanie w czyn prawd Związku Polaków w Niemczech, co wysoko podniesie godność Polski i uczyni ją symbolem piękna, sprawiedliwości i dobra. Bo te prawdy wkraczają głęboko w życie człowieka na tych ziemiach i regulują najpełniej jego stosunek do ojczyzny. Są hasłami walki, takiej walki, jaka tutaj jest jeszcze i będzie długo potrzebna.

